

Jednak, zaledwie pokosztował tego zawodu, jeszcze raz wrócił z narzekaniem do domu. „Wszystko,” mówił, „szłoby jak najlepiej, gdyby nie ten nieznośny ogień! — Stojąc po całych dniach przed rozpaloną blachą, w gorącej kuchni, można się upiec albo stopić!”

Na to ojciec, niechcąc aby Filip po piąty raz obierał sobie rzemiosło, rzekł doń surowo: „Kto chce być szczęśliwym, powinien się nauczyć pokonywać trudności i znosić odważnie przykrości swojego zawodu. Chronić się nieustannie przed niebezpieczeństwami i nieprzyjemnościami, jakie nam nastroczają cztery żywioły: ziemia, powietrze, woda i ogień, jest to samo, co przestać żyć, przestać być człowiekiem. Ogrodnictwo, którego po dowolnym wyborze zacząłeś się uczyć, jest zawodem bardzo korzystnym. Trzeba się tylko wdrożyć i ocenić go dokładnie, aby drobne przykrości, powiązane do tego stanu, niczem ci się wydały.

Filip nie zmarnował ojcowskiej rady, a kiedy później słyszał innych narzekających na przykrości losu, dodawał im odwagi, mówiąc:

„Moi przyjaciele, doświadczyłem ja wszystkiego, wiem co to jest... ale

„Z losem od Boga zesłanym bądź w zgodzie,
„Wypełniaj twoje obowiązki wiernie,
„Nie zazdrość drugim, bo w każdym zawodzie,
„Są łązy i radość, są kwiaty i ciernie.”

XII. CHLEB.

W czasach dotkliwego nieurodzaju pewien bogaty i miłosierny pan kazał przyprowadzić do siebie dwadzieścioro dzieci, należących do najbiedniejszych rodziców z całego miasteczka. „Patrzcie,” rzekł do nich, „w tym koszyku jest tyle bochenków chleba, ile was tutaj, każde może sobie wziąć jeden. Przychodźcie co dzień o tej samej godzinie; ja codzień każę przygotować dla was podobny zapas, dopóki Bóg nie zlituje się nad nami i lepszych nie ześle czasów.”

Zaledwie skończył, dzieci rzuciły się na chleb z chciwością, wybierając w koszyku i wydzierając sobie najpiękniejsze bochenki. Potem, rozeszły się, nie podziękowawszy nawet swojemu dobroczyńcy.

Jedna tylko Franusia, mała dziewczynka, ubożuchno, ale czysto odziana, czekała spokojnie na boku, aż się cała gromadka oddali, poczem, wzięła najmniejszy bochenek, co pozostał w koszyku, z wdzięcznością pocałowała w rękę dobroczynnego pana, i spokojnie, skromnie, odeszła do domu.

Nazajutrz, dzieci również były niegrzeczne; popychały się, kłóciły i krzyczały, aż naostatku, biednej Franusi dostał się bocheneczek o połowę mniejszy niż inne. Ale gdy po powrocie do domu, jej chora matka rozkładała chleb, wypadło z niego mnóstwo nowiuteńkich srebrnych pieniędzy.

Biedna zdziwiona kobieta, rzekła do córki:

„Idź, i natychmiast oddaj te pieniądze; zapewne przez nieuwagę ktoś upuścił je w ciasto i tym sposobem znalazły się w chlebie.”

Franusia zaraz pobiegła z niemi do dobroczyńcy, ale ten rzekł:

„Nie! nie, moje dziecię, to srebro nie przez pomyłkę znalazło się w pieczywie. Kazałem umyślnie włożyć pieniądze w najmniejszy bochenek chleba, aby cię za twoją cierpliwość wynagrodzić. Pozostań zawsze taką, jak jesteś, łagodną, skromną, nie chciwą a wdzięczną. Kto przy podziale dobrodziejstwa woli poprzestać na małym, niż sprzeczać się i bić o część

największą, może być pewnym, że choćby chleb jego nie był napelniony pieniędzmi, Bóg ześle mu błogosławieństwo, które jest najprawdziwszem i najtrwalszem szczęściem człowieka.

Kto się tem cieszy, co Bóg mu zsyła,
Komu spokojność i zgoda miła,
Zyskuje szczęście w najdroższej cenie,
Pogodę serca i zadowolenie.

XIII. CHLEB I WODA.

W czasie wielkiego niedostatku i głodu, które dały się uczuć w pewnej okolicy po gradobiciu, Paweł zszedł z gór i udał się do dzierzawców sąsiedniej wioski prosić o jałmużnę. Piotr, syn najbogatszego z nich, siedział właśnie przed domem zajadając ogromny kawał chleba z masłem.

„Daj mi cząstkę twojego podwieczorka, bo umieram z głodu,” wyrzekł nieśmiało Paweł. Ale Piotr oburzywszy się zawołał:

„Idź sobie dalej, mnie się samemu chce jeść!”

W rok potem, Piotr pobiegł między góry szukając zbłąkaną kozy. Długi czas chodził nadaremnie od wąwozu do wąwozu, od zarośla do zarośla. Słońce dogrzewało coraz mocniej a biedny chłopiec prawie omdlewał z pragnienia, lecz ani zbłąkaną kozy, ani kropelki wody niemógł napotkać.

Nareszcie, spostrzegł ubogiego Pawełka, który siedząc pod drzewem, obok dzbanka napelnionego wodą, pilnował trzody.

„Daj mi choć kilka kropel wody, bo umieram z pragnienia,” przemówił Paweł z żalosnym głosem.

Ale mały pasterz odpowiedział:

„Idź sobie dalej, — mnie się samemu chce pić!”

Wtedy Piotr przypomniał sobie, że kiedyś temi samymi wyrazami odmówił nielitośnie kęsa chleba biednemu Pawłowi. Łzy popłynęły mu z oczów, rzucił się pasterzowi na szyję i błagał o przebaczenie. Paweł nie długo dał się prosić, uściskał go nawzajem, zapomniał urazy, dał mu pić, dopomógł mu odszukać kozę i odprowadził do wioski.

Przy pożegnaniu Piotr zawołał z uczuciem:

„Niech ci Bóg wynagrodzi na ziemi i w niebie, za twoją dobroć, uczynność i niezawziętość!”

Pomnijcie dziatki Chrystusowe słowa:

„Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.”

Kto do bliźniego w sercu urazy nie chowa,
Bóg go wynagrodzi niebem.

XIV. MLEKO.

Ferdynand, syn bogatego obywatela, w pogodny dzień wiosenny wyszedł na przechadzkę za miasto. Przybywszy do odległego o parę wiorst folwarku, kazał sobie podać talerz mleka i bułkę, zapłacił, usiadł na trawie w cieni drzew i zaczął smaczno pożywać.

Michaś, biedny, mizerny, wygłodzony chłopczyna z sąsiedniej wioski, stał i spoglądał smutno na zajądającego panicza; byłby chętnie podzielił jego śniadanie, ale nie śmiał prosić choćby i parę łyżek.

Bogaty Ferdynand, spostrzegłszy malca, postanowił zostawić mu część swojego śniadania, ale ta myśl chwilę tylko potrwiała i dobry zamiar spełznął na niczem; mleko tak było doskonałe, że Ferdynand niemógł się oprzeć pokusie zjedzenia go do kropelki. Lecz gdy ostatnią łyżkę brał do ust, ujrzał na dnie białego talerza jakieś wierszyki a przeczytawszy je, mocno się zarumienił; wstał czemprowadź z trawnika, kazał podać drugą porcję z sporym kawałkiem chleba i zbliżył się do Michasia, prosząc uprzejmie, aby przyjął to skromne śniadanie. Zdziwiony chłopczyna wahał się z początku, ale Ferdynand sam wdrobił mu chleb do mleka, i serdecznymi słówkami, ośmielił biedne dziecko; poczem, zwróciwszy się do gospodyni, rzekł:

„Wierszyki umieszczone tutaj, powinnyby się znajdować na wszystkich talerzach, półmiskach i kosztownych naczyniach bogaczy.”

Były to następujące wyrazy:

„Dobrym służę najweseleji,
„Ale wiedźcie nieużyty,
„Że kto z głodnym się nie dzieli,
„Ten się ze mnie nie nasyci!”

XV. ZUPA.

„Nasza zupa jest dzisiaj strasznie chuda i wodnista, niemożna jęj jeść, wcale niesmaczna.”

Tak się żaliła mała Magdusia i położywszy łyżkę, nie chciała kończyć obiadu.

„Niejedz, kiedy nie dobre,” odpowiedziała matka, „za to na kolację przyrządzę zupę daleko smaczniejszą.”

Po obiedzie poszły do ogrodu, gdzie kopano kartofle. Matka kazała Magdusi wybierać co największe i jeszcze przed zachodem słońca pokłaść do worków, sam zaś wzięła się do motyki.

Wieczorem, wróciwszy do domu, zastawiła kolację. Magdusia wzięła do ust łyżkę i pokosztowawszy zawołała:

„O to mi dopiero zupa! ani jęj porównać z tamtą, co była na obiad!”

I zjadła pełen talerz, a gdy ostatnią wysączyła kropelkę, matka rozśmiewszy się rzekła:

„Dowiedźże się, moja Magdusiu, że to właśnie ta sama zupa, której nie chciałaś jeść na obiad; a wiesz, dla czego wydała ci się teraz tak smaczną? oto dla tego, żeś całe południe pracowała, że po pracy każdy posiłek jest pożądanjszy i smaczniejszy.”

Próżniactwo do najdroższych przysmaków zniechęci,
A więc dzieci! do pracy zabierzcie się żwawo!
Po niej, nawet chleb suchy jak marcepan znęci,
Bo praca jest najlepszą pokarmów przyprawą.

XVI. GĘŚ W DNIU Ś^{GO} MARCINA.

„Dziś moje imieniny,” mówił Marcinek do swoich braci i sióstr; „będziemy jedli na wieczerzę pieczoną gęś!”

O zmroku, zapalono światła i wszystkie dzieci pospieszyły radośnie zabrać miejsca około nakrytego do kolacyi stołu, oczekując z najżywszą niecierpliwością pożądanego przysmaku. Nareszcie służąca weszła, a obejrawszy gęś, która się piekła na różnie przy sutym ogniu, rzekła:

„Dopiero za pół godziny będzie ją można jeść.”

Na te słowa, taka niecierpliwość ogarnęła małych biesiadników, że wszyscy czworo zaczęli chórem płakać. Służąca chcąc ich uspokoić, uciekła się do podstępu, mówiąc:

„Bądźcie cicho, bo to dziś właśnie straszny dziad z kościanną bródką chodzi po ulicach i w ogromną torbę zabiera wszystkie niegrzeczne dzieci. Jeżeli się nie uspokoiacie, oddam mu gęś.”

Dzieci, niezważając bynajmniej na bajeczkę służącej, zaczęły się jeszcze głośniej i uporczywiej dopominać, aby natychmiast podano wieczerzę. Wtedy zniecierpliwiona służąca otworzyła lufcik, a wzięwszy gęś z różnem wysadziła za okno, mówiąc:

„Na masz dziadku z kościanną brodą, kiedy dzieci niegrzeczne, weź sobie gęś!”

„Ślicznie dziękuję!” odezwał się chrypliwy głos z ulicy.

Był to złodziej, który w tej właśnie chwili przechodził koło okna, i który wyrwawszy służącej rożen z gęsią, uciekł niewiadomo gdzie.

Dziewczęta i chłopcy nowym wybuchnęli płaczem, na ich krzyk przybiegła matka, a dowiedziawszy się o tem, co zaszło, rzekła:

„Niegrzeczne dzieci! słusznie zostańcie ukarane za waszą niecierpliwość, to też zamiast wybor nego pieczystego dostaniecie tylko po talerzu zupy z kaszką.”

Potem zwróciwszy się do służącej, dodała:

„Tyle już razy zakazywałam ci straszyć dzieci twojami nierozsądnymi baśniami o dziadzie z kościanną brodą; ponieważ dotąd nieusłuchałaś, dla nauki i za karę, wytrącę ci z zasług watość gęsi i różna.”

Cierpliwością
I grzecznością,
Wszystko w świecie zrobić można
Kto się ciska,
Ten uzyska
Zupkę, zamiast gęsi i różna.

XVII. TROISTA PRZYPRAWA.

Bogaty książę, przechadzając się po wiosce, został zaskoczony burzą, która go zmusiła schronić się do najbliższej chaty.

Wszedłszy, tam zastał dzieci siedzące przy stole i zjadające smacznie polewkę z jęczmienną kaszą. Wszystkie miały wyborny apetyt, prócz tego radość i zadowolenie jaśniały na ich twarzyczkach świeżych, jak jagody.

„Zkąd pochodzi,” zapytał książę ich matki, „że twoje dzieci z tak widocznym apetytem zjadają tę prostą i lichą potrawę? że pomimo tego wyglądają tak ochoczo i zdrowo?”

„To pochodzi od troistej przyprawy tej polewki,” odpowiedziała matka. „Naprzód, moje dzieciaki muszą zasłużyć na obiad pracą; powtóre, nie dostają nic przed obiadem, więc nawykają do wstrzemięźliwości, naostatek, nieprzyrządzam im nigdy potraw

Garnek z miodem.

wyszukanych, bo i mnie nie stać na to, i dzieci nie nawykłyby do umiarkowania,”

Jeśli pragniesz być zdrowym i przy apetycie,
Wlej troistą przyprawę w całe twoje życie;
A jej trzy części, których w sklepie nie dostanie,
Są: *praca, wstrzemięźliwość i umiarkowanie.*

XVIII. GARNEK Z MIODEM.

Matka Małgosi, będąc bardzo zatrudnioną w kuchni, rzekła do niej:

„Moje dziecko, — oto klucz od spiżarni, idź prędko i przynieś mi cytrynę.”

Małgosia, znalazłszy się w spiżarni, spoglądała chciwie na wszystkie strony, czy niedopatrzy jakichś łakoci, aby się niemi mogła potajemnie uraczyć. W tem, na jednej z wyższych pułek, spostrzegła duży garnek, o którym wiedziała, że jest napełniony miodem. Wspięła się więc na palce, aby dosięgnąć garnka, lecz zaledwie utopiła w nim rękę, poczuła, że ją coś mocno schwytało za palec. Łakoma dziewczyna z krzykiem bóleści cofnęła rękę i ujrzała przyczepionego do niej ogromnego raka, który w żaden sposób niechciał puścić swojej zdobyczy.

Małgosia nie wiedziała, że matka sprzedawszy przed kilkoma dniami miód, napełniła wypróżniony garnek rakami.

Posłyszawszy krzyk, przestraszona matka przybiegła do spiżarni, odczepiła raka trzymającego się jeszcze ręki Małgosi i rzekła:

„Niechaj ta mała kara będzie dla ciebie przestrogą. Nie raz łakomstwo wiedzie za sobą gorsze

jeszcze następstwa. Jest wielu ludzi, którzy nie pokonawszy w sobie tej zgubnej skłonności będąc młodemu stracili później cały majątek, stracili przez nią zdrowie, a nawet zdeptali swoją uczciwość i dobre imię.”

Zgubny jest łakomstwa wąż,
Bo gdy kogo w swą moc złowi,
Wydrze zdrowie, cześć, majątek,
Odda duszę szatanowi.

XIX. LEKARSTWA DOMOWE.

Rodzice Henrysia byli bardzo bogaci; skupowali mu i dawali wszystko, czego zażądał, dogadzali najmniejszemu jego kaprysowi, słowem pieścili go i psuli pod każdym względem. Ale zbyt wcześnie Bóg zabrał ich do siebie, a młody sierota pojechał na wieś do swojego stryja, który objął nad nim opiekę.

Z początku, Henryś nie mógł się przyzwyczaić do wiejskiego życia. U rodziców rzadko się czem zajmował, dzień po dniu upływał mu na zabawie lub próżnowaniu, tu zaś większą połowę dnia musiał się uczyć, a dopiero nad wieczorem wolno mu było biegać. W mieście jadał najwyszukańsze potrawy; kładł się późno spać, nie wcześnie wstawał; na wsi musiał nawykać do pokarmów prostych, kłaść się spać najpóźniej o dziewiątej, wstawać prawie ze wschodem słońca.

Jednakże, choć mu się ten nowy rodzaj życia przykrzył, choć z początku nie mógł się z nim oswoić, — powoli zaczął do niego nawykać i pojmować zbawienne skutki pracy i umiarkowania. Henryś, w domu rodziców był zawsze blady, cierpiący, nie było tygodnia, aby mu doktor nieprzepisał jakiego lekarstwa; tymczasem na wsi zdrowie jego zupełnie się polepszyło, nabrał mocy jak młody dąb; policzki zakwitły mu rumieńcem, jak listki świeżej róży, — i ani razu nie trzeba było wzywać pomocy lekarza. Dla tego też Henryś często powtarzał:

„Wujaszek ma wielką słuszość mówiąc: że domowe lekarstwa to jest: praca, świeże powietrze i wstrzemiężliwe życie, są najskuteczniejszymi środkami do zachowania zdrowia i dobrego humoru.”

Gdy z gnusności ciało chore,
Nie pomogą sztuczne leki,
Pracuj w porę, spocznij w porę,
A nie zajrzysz do apteki.

XX.

ZŁOTY PIENIĄDZ.

1.

Anusia skończyła cztery lata. Ojciec sprawił jej na urodziny śliczną sukienkę, matka zaś kazała przygotować lepszy niż zwykle obiad, na który zaprosiła kilka osób należących do rodziny. Między temi, przybył i chrzestny ojciec Anusi, który ofiarował jej zagraniczny złoty pieniądz.

Po obiedzie, gdy starsi zajęli się rozmową, Anusia wybiegła na dziedziniec i prawie w tej chwili ujrzała wchodzącą do bramy przekupkę z koszykiem napełnionym świeżymi owocami.

„Patrzcie kobieto!” zawołała dziewczynka, „mam tutaj śliczny złoty pieniądz!”

„Prawda,” odpowiedziała przekupka, „ale ja mam jabłuszka daleko piękniejsze! jednak dla ta kiej grzecznej i ładnej panienczki, oddam za ten pieniądz, największe i najczerwieńsze jabłuszko.”

Ucieszone dziecię, oddało czemprowadź złoty pieniądz, a pochwyciwszy jabłko obiema rękami, skacząc radośnie pobiegło do pokoju; tymczasem owocarka spieszenie oddaliła się za bramę.

„Patrzcie, kochani rodzice,” zawołała Anusia, „jakie śliczne, rumiane jabłuszko kupiłam za mój złoty grosz.”

Matka wydała krzyk, ojciec zaś domyślając się wszystkiego, rozgniewał się i zaczął łajać Anusię, ale chrzestny ułagodził ich mówiąc:

„Moi kochani przyjaciele, niemożna gniewać się na maleńką, że sobie tak nierozsądnie postąpiła. Ona nie zna jeszcze wartości tego, com jej ofiarował, i bardzo naturalnie, że w jej oczach, jabłko znaczy więcej, niż złoty pieniądz. Ale ileż to starszych, dojrzałych osób postępują daleko nierozsądniej? Wiemy, że bogactwa ziemskie są próżne i doczesne, kiedy tymczasem pobożność i cnota, są jedynymi skarbami, które na całą wieczność nieutracają wartości. Jednakże są ludzie, co dla przelotnych ziemskich fraszek poświęcają spokojność duszy, płamią sumienie i tym sposobem wyrzekają się nadziei zbawienia w życiu wiecznym!”

„Takich istotnie jest karać za co,

„Którzy sumienia nie strzegą,

„I za doczesne bogactwa tracą

„Szczęście żywota wiecznego.”

2.

Chrzestny Ojciec Anusi, który był rozsądnym i zabiegłym kupcem, zabawiwszy jeszcze parę godzin u jej rodziców, wrócił do siebie. Wieczorem, weszła do jego sklepu przekupka z próżnym koszykiem, a zażądawszy pół funta cukru i tyleż kawy, położyła na stole złoty

pieniądz, prosząc, aby jój wydano resztę.

„Oho!” rzekł kupiec, „za pozwoleniem!... powiedz mi pierwój moja kobieto, jakim sposobem ten pieniądz dostał się w twoje ręce? Taka moneta nie kursuje w naszym kraju, a jeżeli ty nie wiedziałas o tem, to ja ci powiem, z kąd i jakim sposobem nabyłaś tę sztukę złota. Zaczekaj tu parę minut, trzeba ażebyś się dowiedziała, jak postępują j takimi, co maleńkim dzieciom sprzedają jedno zabłuszko po pięćdziesiąt franków w złocie.”

To powiedziawszy, kazał jój nie wypuszczać ze sklepu, sam zaś posłał chłopca do komisarza policyi. W kilka chwil przybył dozorca i przyaresztował złodziejkę, która poniosła sprawiedliwą karę.

Podstępem usnutym zdradnie,
Krzywdzić bliźnich się nie godzi;
Czy kto oszuka czy skradnie,
Jednakowy z niego złodziej.

XXI. PIĘCIOZŁOTÓWKA.

Pewien wieśniak imieniem Błazój, znany z moralności i pobożności, mawiał:

„Kto kocha Pana Boga z całego serca, temu nie trudno czynić dobrze a unikać złego.”

W tój samój wiosce był parobek, bardzo popędliwego charakteru; gniewał się on o lada drobnostkę a w uniesieniu klął i wymyślał najbrzydszemi wyrazami. Błazój strofował go często, błagając, aby dla miłości Bożej miarkował swoją popędliwość, ale parobek odpowiadał zawsze:

„Nie mogę się nie złościć i nie wymyślać, kiedy ludzie i zwierzęta wszystko mi robią na przekor.”

Jednego ranka, Błazój rzekł:

„Słuchaj, Mateuszu; oto nowiuteńka pięciozłotówka, jeżeli przez cały dzień będziesz cierpliwy, jeżeli się na nikogo nie rozniewasz i nie wymówisz ani jednego brzydkiego słowa, przed pójściem na spoczynek dam ci tę pięciozłotówkę.

Parobek z radością przystał na układ, ale inni domownicy z folwarku zmówili się, aby mu nie dać zasłużyć na ów pieniądz. Dla tego też przez cały dzień wyrządzali Mateuszowi rozmaite psoty, przemyślając tylko, jakby go pobudzić do złości. Jednak Mateusz miał tyle mocy nad sobą, że ani jeden nieprzyzwoity wyraz z ust mu się nie wymknął.

Wieczorem Błazój oddał mu pięciozłotówkę, mówiąc:

„Dotrzymuję przyrzeczenia, ponieważ umiałeś być powściągliwym; ale powinieneś się wstydić, że dla nędznych pięciu złotych, uczyniłeś więcej, niż dla miłości Boga.”

Dotknięty tak sprawiedliwym wyrzutem Mateusz, pobiegł nazajutrz do kościoła; połowę pięciu złotych rozdał ubogim a za drugą połowę zakupił mszę świętą, na której błagał Boga o przebaczenie i o pomoc w szczerze przedsięwziętój poprawie. Bóg miłosierny wysłuchał jego modlitwy, bo niezadługo Mateusz stał się prawdziwym wzorem cierpliwości.

Spiesz ku poprawie życia całą uczuć siłą,
Przejmij się Bożą miłością,

A co wczoraj dla ciebie niepodobnem było,
Dzisiaj wykonasz z łatwością.

XXII. PIENIĄDZE DOBRZE UŻYTE.

Pewien uczciwy i pracowity młynarz, chociaż zarabiał wiele pieniędzy, poprzestawał na najprostszych pokarmach, ubierał siebie i swoje dzieci skromnie, słowem, unikał wszelkich zbytecznych wydatków.

Jednego dnia, tokarz mieszkający naprzeciwko, wszedłszy do niego zapytał:

„Powiedz mi, panie młynarzu, co ty robisz z twojemi pieniędzmi?”

„Co robię?” odrzekł młynarz, „połowę obracam na spłacenie długów, a drugą wkładam w obrót mojego rzemiosła.”

„Eh! chyba żartujesz!” zawołał tokarz, „zarabiając tyle pieniędzy, nie podobna, abyś miał jakie długi do płacenia!”

„I owszem,” odparł młynarz, „ale pozwól, abym ci to wytłumaczył. Najpierw, wszystkie pieniądze, jakie moi dobrzy rodzice od chwili, kiedym przyszedł na świat, wydali na moje wychowanie, uważam, jako święty dług, który im zwrócić powinienem. Pieniądze zaś, które wydaję na wychowanie moich dzieci i na naukę rzemiosła, które im zabezpieczy uczciwy byt, uważam jako kapitał, który mi zwrócą z procentem, kiedy już będę starym. Niczego nieoszczędzam dla ich przyszłego dobra, tak jak moi rodzice niczego dla mnie nieżałowali, a jeżeli czuję się w obowiązku zwrócenia ojcu i matce otrzymanych dobrodziejstw, mam nadzieję, że i moje dzieci nie będą niewdzięcznymi i uiszczą mi się z taką sumiennością, jak gdyby to, co na nie wydaję, zawarowane było urzędowym kontraktem.

Łask rodzicielskich, nigdy nazbyt nieocenim,
Ich dobrodziejstwa świętym dla nas kapitałem,
Spłacać go powinniśmy duszą, sercem całym,
Wdzięcznością, przywiązaniem i rzewnem wspomnieniem!

XXIII. BOGACTWA ŹLE UŻYTE.

Karol posiadał tylko małeńki folwarczek; nie był więc bogatym, jednak żył szczęśliwie ze swoją rodziną, której skromne potrzeby zaopatrywał pracą i oszczędnością. Prócz tego bardzo był pobożnym, to też Bóg widocznie mu błogosławił, bo nietylko niedoznawał niedostatku; ale jeszcze co rok, mógł odłożyć małeńką sumę na przyszłość dla swoich dzieci.

Jednego dnia, kiedy czyścił studnię znajdującą się na jego podwórku, spostrzegł miedziany kociołek, ukryty głęboko za ocembrowaniem, w którym, odbiwszy pokrywę, ujrzał mnóstwo złotych i srebrnych pieniędzy. Karol olśniony tym widokiem nieposiadał się z radości, a

wnosząc znaleziony skarb do domu, sądził, że wnosi razem z nim nieograniczone szczęście. Od tego dnia wszystko przybrało u niego inną postać; czując się bogatym, powierzył uprawę swoich gruntów domownikom, niczem się nie zajmował, przestał nawet doglądać prac gospodarskich; przybrał się w kosztowną odzież, kazał przyrządzać zbytkowne obiady, wreszcie zaczął pić i grać w karty. Na domiar tego, zapomniał o Bogu, zapomniał o własnej duszy, to też w krótkim czasie zamiast być coraz bogatszym, został obciążony długami.

Złe użycie dóbr, przywiodło Karola do żebractwa; dłużnicy sprzedali jego folwarczek przez licytację, rozpustne i nieregularne życie pozbawiło go zdrowia; ostatnia isierka pobożności wygasła w jego sercu. Tak przygnębiony, poszedł do tej samej studni, z której wydobył skarb, i z rozpaczyny rzucił się w wodę.

Z uboższych, prawie każdy się łudzi,
Że kto ma dużo pieniędzy,
Jest najszczęśliwszym; — a iluż ludzi
Złoto przywiodło do nędzy?...

XXIV.

WORECZEK Z PIENIĘDZMI.

1.

Wojtuś, syn biednego węglarza siedział pewnego dnia w lesie pod drzewem, płacząc i modląc się gorąco. Bogaty jakiś pan w zielonej kurtce z brylantową gwiazdą na piersiach, który właśnie polował w tym samym lesie, usłyszawszy płacz chłopczyny, zbliżył się i zapytał:

„Czego tak płaczesz, moje dziecko?”

„Jaśnie panie!” odpowiedział Wojtuś, „ojciec posłał mię do miasta, abym kupił w aptece lekarstwo dla matki, już od kilku tygodni choręj, a ja nieszczęśliwy, zgubiłem woreczek z pieniędzmi!”

Pan, szepnął coś do towarzyszącego mu strzelca, potem wydobywszy z kieszeni jedwabny pąsowy woreczek napełniony złotem, zapytał:

„Czy to czasem nie ten sam, który zgubiłeś?”

„Oh! nie, Jaśnie panie! zawołał Wojtuś, mój był brzydszy i nie zawierał ani tak dużo, ani takich ślicznych pieniędzy!”

Woreczek z pieniędzmi.

„Może to ten?” zapytał z kolei strzelec, pokazując mały, zniszczony woreczek.

„Ten sam, ten sam, łaskawy panie!” wykrzyknął uradowany już Wojtuś. Strzelec oddał mu zgubę, a bogaty pan rzecze:

„Kochane dziecko, ponieważ modliłeś się tak szczerze i okazałeś tyle uczciwości, daruję ci mój woreczek razem ze złotem, które się w nim znajduje.”

Kto bądź w nieszczęściu błaga Niebios Pana,
Wesprze go święta opieka,
A najpiękniejszym przymiotem człowieka,
Jest uczciwość niezachwiana.

2.

Stefan, pastuszek z sąsiedniej wioski, posłyszawszy o przygodzie Wojtusia, dowiedział się czempredziej, kiedy ów bogaty pan będzie na polowaniu, a gdy rozległ się w lesie odgłos myśliwskich rogów, usiadł pod drzewem i udając płacz, krzyczał:

„Oh! ja nieszczęśliwy, zgubiłem mój woreczek z pieniędzmi! oh! mój woreczek, mój woreczek!”

Bogaty myśliwy zbliżył się ku niemu i wydobywszy sakiewkę ze złotem zapytał:

„Czy to twoja?”

„Moja! moja!” wrzasnął Stefan wyciągając po nią obie ręce.

Ale strzelec towarzyszący panu, rzekł surowo:

„Zuchwały kłamco! chciałeś oszukać mojego pana? czekaj! zaraz ja ci zapłacę!”

To powiedziawszy urwał sporą różgę z poblizkiej brzeziny, i wymierzył małemu oszustowi zasłużoną karę.

Jak ujść kary, łotr, niecnota,
Nadaremnie suszą mózgi,
Często oszust, zamiast złota,
Niespodzianie weźmie różgi.

XXV. BRYLANTOWY PIERŚCIEŃ.

Biedny przemysławiec imieniem Mieczysław, popłynął do odległej części świata, gdzie dorobiwszy się pracą, oszczędnością i zabiegami znacznego majątku, wrócił po kilkunastu latach do ojczyzny.

Zaledwie wjechał do rodzinnego miasta, dowiedział się, że wszyscy jego krewni znajdują się na wieczyzy w wiejskim domku o kilkaset kroków za rogatkami. Stęskniony Mieczysław, pospieszył tam natychmiast, a ponieważ zajęty był jedynie myślą radosnego powitania swoich ukochanych, zapomniał nawet przebrać się staranniej i pojechał do nich w bardzo

wyszarzanym surducie.

Skoro wszedł do sali oświetlonej kilkoma lampami, krewni przywitali go tak obojętnie, jak gdyby jego powrót nie sprawił im najmniejszej radości, gdyż z wytartego surduta sądzą, że wrócił nie mniej ubogi, jak był odjechał.

Młody murzyn, którego Mieczysław przywiózł ze sobą, spostrzegłszy to, niemógł powściągnąć oburzenia; zbliżył się więc do swojego pana i rzekł:

„To muszą być bardzo źli ludzie, kiedy nawet przychylnego słówka nie mają dla krewnego, którego tyle lat nie widzieli?”

„Czekajno chwilę,” odpowiedział po cichu przemysłowiec, „zaraz oni będą uprzejmiejsi.” I wydobywszy z kieszeni pierścień z dużym brylantem, włożył go na palec. Zaledwie to uczynił, wszystkie twarze rozpogodziły się razem; kochani krewni, jeden przez drugiego cisnęli się do Mieczysława, całując go, ściskając za ręce, kłaniając się i dopominając pierwszeństwa w ugoszczeniu tak oczekiwanego przybysza.

„Czy ten pierścień posiada moc czarowania ludzi?” zapytał zdziwiony murzyn.

„Oh! bynajmniej!” odpowiedział Mieczysław; „ale widok klejnotu wartującego około tysiąca dukatów, przekonał ich, że jestem bogaty, a u nich bogactwo jest najszanowniejszym przymiotem człowieka.”

„Oh! zaślepieni! zawołał wtedy murzyn; „więc to nie tajemnicza siła dyamentu, ale po prostu pieniądze was oczarowały! Czyż podobna, aby żółty metal i przezroczyste kamyki, miały u was więcej wartości, niż tak szlachetny, tak zacny człowiek jak mój pan?... Oh! gdybym był o tem wiedział, nieprzyjeżdżałbym do waszego kraju!”

Ale Mieczysław uspokoił go mówiąc:

„Wszędzie się znajdzie rozum i ciemnota,

„Lecz z pociechą wyznać muszę,

„Że u nas więcej takich, co od złota

„Cenią wyżej piękną duszę.”

XXVI. ZŁOTA TABAKIERKA.

Pułkownik Sędzimir, obiadując u siebie z kilkunastoma zaproszonymi oficerami, dał im do obejrzenia prześliczną złotą tabakierkę, którą przed kilkoma dniami kupił. W kilka chwil potem chciał zażyć tabaki, ale napróżno przetrząsnął wszystkie kieszenie, czem niepomału zdziwiony, zapytał:

„Gdzie moja tabakierka? Panowie, bądźcie łaskawi zobaczyć, czy który z was przez roztargnienie, nie włożył jęj do swojej kieszeni?”...

Natychmiast wszyscy biesiadnicy powstali i poprzewracali swoje kieszenie, ale tabakierki nie było. Jeden tylko z nich, młody podchorąży nie ruszył się z miejsca, a jego twarz okazywała widoczne pomięszanie.

„Nie przewracam moich kieszeni,” rzekł: „ale daję słowo honoru, że nie mam pańskiej zguby.”

Po obiedzie, oficerowie rozeszli się potrząsając znacząco głowami, bo każdy z nich miał porozumienie na młodego towarzysza.

Nazajutrz rano pułkownik wezwał go do siebie i rzekł:

„Znalazłem zgubę. Kieszon moja była rozpruta, więc tabakierka wsunęła się między podszewkę i sukno munduru. Ale powiedz mi teraz, dla czego nie chciałeś przewrócić twoich kieszeni, kiedy każdy z obecnych uczynił to bez wachania?”

„Panie pułkowniku,” odrzekł młodzieniec, „teraz, kiedy jesteśmy sami, powiem ci chętnie dla czego. Otóż dowiedz się, że moi rodzice są biedni; oddaję im połowę żołdu, a przez oszczędność nie stołuję się w domu. Wczoraj, gdyś mi uczynił zaszczyt zapraszając do siebie, miałem już mój skromny obiad przy sobie. Byłbym umarł ze wstydu, gdybym przewracając kieszeń, musiał pokazać kawałek czarnego chleba i salcesonu, które stanowią prawie codzienne moje pożywienie.”

Te wyrazy, mocno wzruszyły pułkownika.

„Jesteś najlepszym synem!” zawołał ściskając młodego żołnierza, „to też pragnąc ci dopomóc do wspierania rodziców, proszę, abyś codziennie przychodził do mnie na obiad.”

Podchorąży szczerze podziękował dobroczyńcy, który chcąc zupełnie rozproszyc krzywdzące go podejrzenia kolegów, zaprosił ich powtórnie na wielki obiad, ogłosił w obec wszystkich niewinność zacnego młodzieńca i na pamiątkę poważania, ofiarował mu swoją złotą tabakierkę.

Oddawaj twym rodzicom miłość i starania,
Jakiemi od dzieciństwa otaczali ciebie,
A Bóg, który niewinnych od złego ochrania,
Błogosławić ci będzie na ziemi i w niebie.

XXVII.

PIANKOWA FAJKA.

F Franciszek był synem ubogiej wdowy, zamieszkałej na wsi. Ponieważ miał piękny głos, wyrobiono mu miejsce chórzysty przy kościele katedralnym pobliskiego miasta, gdzie zakosztowawszy lepszego bytu, oddał się z całym zapalem nauce. Większą część dnia przesiadywał nad książkami, wieczorem zaś, udzielał lekcje łaciny, które dopomogły mu do utrzymania. Dzięki zdolnościom i niezmiordowanej pracy, Franciszek otrzymał niezadługo stopień doktora prawa i urząd sekretarza przy tamtejszym gubernatorze.

Nowy sekretarz był bardzo zdolnym człowiekiem, miał on nadzieję dojść do najwyższych urzędów, a nawet zaślubić młodą Emilję, córkę Gubernatora, u którego często bywał na obiedzie.

Jednego dnia, właśnie rozpoczynającego wielki jarmark, na który co zjeżdżało się mnóstwo ludzi, jakiś szanowny starzec, mieszkaniec rodzinnej wioski Franciszka i bardzo mu znany, wszedł do niego mówiąc:

„Panie sekretarzu, twoja stara matka jest niebezpiecznie chora; życzyła, abym się z tobą zobaczył i prosił o pomoc dla niej.”

Franciszek więcej rozgniewany niż rozżalony, wręczył mu pięciozłotówkę i rzekł:

„Masz pan, — bądź łaskaw oddać to matce.”

Tegoż samego dnia po obiedzie, cała rodzina gubernatora udała się na wielki plac, aby obejrzeć bogate sklepy i pełne rozmaitych przedmiotów kramiki jarmarczne, — a przytem, aby zakupić sobie po jakieś ładnej bagatelce. Franciszek, który im towarzyszył, upatrzył dla siebie prześliczną piankową fajkę, za którą dał dwadzieścia złotych.

Emilja, zarówno piękna jak pobożna i szlachetna, wiedziała, że Franciszek swojej chorąg matce posłał tylko pięć złotych, i chociaż była mu bardzo przychylna, oburzyła się, widząc go